Rok V. Kraków, Wrzesień—Październik 1930. Nr. 1—2.

ŚWIT

MIESIĘCZNIK UCZENIC PRYWAT. GIMNAZJUM
IM. H. KAPLIŃSKIEJ W KRAKOWIE.

Po powrocie.

Pokochałam cię ziemio wileńska,
Pełna jakiejś przedziwnej zadumy,
Pokochałam twe łąki wilgotne
I twych lasów żałosne poszumy.

Twoje zamki i zamków ruiny
Romantycznie się w niebo wznoszące,
Dworki pełne prastarej legendy,
Ciche rzeki, jeziora milczące.

Pokochałam twe miasta odwieczne
Tak odmienne mające oblicza,
Kędy błądzi samotnie w uliczkach
Wierny ziemi swej duch Mickiewicza.

J. Mieszkowska.

WILNO.

Z jakąż radością i dziwnem uczuciem rozrzewnienia witałyśmy stary gród Gedymina, otoczony kręgiem pagórków, na których odwieczne lasy opowiadają dawne, dawne dzieje! Wspominają nam one o świętym zniczu, co płoną wiecznie, o pełnych natchnienia pieśniach Wajdelotów, o apostołach Litwy, którzy ponosili śmierć męczeńską od pogan. Owe lasy opowiadają nam dalej o strasznych napadach krzyżackich, o ich zwycięzcy Jagielle, wspominają czasy świetności ostatnich Jagiellonów, straszny pożar, który zniszczył Wilno w 1610 r., pełne grozy napady moskiewskie, a wreszcie ciężką, przeszło stuletnią niewolę i niedawne bohaterskie walki z rozlicznym wrogiem. Teraz szumią one pieśń wielką, radosną, pieśń dziękczynienia — zabłysło nam bowiem słońce zmartwychwstania!

Niezaprzeczenie najtrwalsze wspomnienie z Wilna pozostawiła nam „Ostra Brama", oglądana tak w blaskach porannego słońca, jak i wieczorem, w świetle jarzących się świec. Nad bramą, będącą pozostałością murów obronnych z XVI wieku, znajduje się skromna kaplica, o białych prostych murach, mieszcząca cudowny obraz Najśw. Marji Panny. Żadna z nas nie potrafiłaby wypowiedzieć wrażenia, jakiego doznała znalazłszy się tam. Ileż tu kryje się wspomnień, ileż łez wsiąkało w dniach smutków i niedoli znękanego ludu litewskiego. Każda z nas w milczeniu wpatruje się w Jej twarz łagodną i smutną pełną niewystawionej słodyczy i miłości i mimowoli poczyna powtarzać słowa, wypisane nad kaplicą: „Mater misericordiae sub tuum praesidium confugimus" Każdy przechodzień bez różnicy wyznania i narodowości, spiesząc przez Ostrą Bramę zdejmować musi czapkę i iść odkrytą głową. W oczach wszystkich widnieje wielkie przywiązanie do tego miejsca, będącego n iejako symbolem katolickiej Litwy. W kaplicy wszystko proste, ubogie i właśnie w swej prostocie tak wymowne, sprawiające nigdy niezatarte wrażenie.

Zwiedzanie Wilna rozpoczęłyśmy od placu katedralnego, będącego niegdyś sercem Giedyminowego grodu. Wznosi się tu dzwonnica, jedna z dawnych baszt, której dolne piętra, zbudowane z polnego kamienia, świadczą o starodawnem pochodzeniu. Dzisiejszy kościół katedralny, odrestaurowany w XVIII w. w stylu klasycznym, imponujący w swych rozmiarach przytłacza nas nieco swą wielkością i majestatem. Pierwotna świątynia drewniana zbudowana była XIV w. przez Jagiełłę na miejscu pogańskiego gaju Swintoroga. Wnętrze katedry ma charakter

zimny i trochę monotonny. Najpiękniejsza z kaplic Św. Kazimierza, utrzymana jest w stylu barokowym i przypomina nieco swym charakterem renesansową kaplicę Zygmuntowską na Wawelu. Zbudowana jest z ciemnego marmuru, wnętrze kopuły bogato rzeźbione i ozdobione malowidłami Smuglewicza. W niszach znajdują się posrebrzane posągi Jagiellonów naturalnej wielkości. Na tle pięknej płaskorzeźby, przedstawiającej Madonnę w otoczeniu aniołków, wznosi się ołtarz na którym umieszczona jest trumna ze szczątkami Św. Kazimierza. Ogromnie podobała się nam mała przenośna ambona, przepięknie rzeźbiona w kształcie kielicha, o której legenda głosi, że należała do X. Piotra Skargi.

Przeszedłszy przez piękną zakrystję, gdzie pokazywano nam misternej roboty szafę rokokową, oraz przez szereg drewnianych schodów dostałyśmy się do skarbca, który zawiera cenne ornaty, hafty, gobeliny i kosztowności, oraz togę i biret X. Skargi. Z placu katedralnego przez prześliczną uliczkę „Skopówkę“ docieramy do placu Napoleona gdzie bardzo rozległy, w stylu klasycznym zbudowany Pałac Rzeczypospolitej dawny pałac biskupi czyni imponujące wrażenie. „Po drodze“ oglądamy piękny arkadowy dziedziniec dawnego alumnatu papieskiego i — wchodzimy do kościoła akademickiego Św. Jana, którego wyniosła dzwonnica góruje nad całem miastem.

Wspaniała rokokowa fasada kościoła dziwnie łączy się z gotyckiemi szkarpami prezbiterjum i ostrołukowemi oknami. (Różnorodność stylów jest cechą charakterystyczną budowli wileńskich, które niszczone przez pożary lub przez barbarzyństwo najeźdców, były w różnych epokach restaurowane.) Wnętrze kościoła surowe i zimne. Wspaniałe jedynie jest tu rokokowe prezbiterjum wznoszące się kondygnacjami ku górze. Poza tablicami pamiątkowemi Mickiewicza, Odyńca, Syrokomli i Kościuszki, znajduje się tu na chórze popiersie Moniuszki, który przez dłuższy czas był organistą tegoż kościoła.

Przy wejściu na pierwszy dziedziniec uniwerzytecki tzw. dziedziniec Skargi spotkała nas miła niespodzianka. Był to właśnie dzień inauguracji roku szkolnego na Uniwersytecie Stefana Batorego. My jednak, dzięki wrodzonej skromności, uznałyśmy, że tłumy młodzieży i korporacje ze sztandarami na nasze przybyły przyjęcie. Po zwiedzeniu dziedzińca arkadowego weszłyśmy na dziedziniec t. zw. gwiaździsty (Poczobuta), gdzie znajdowało się obserwatorjum astronomiczne. Fronton budowy wspiera się na dwóch wieżach w kształcie kolumn doryckich, pomiędzy któremi znajdują się płaskorzeźby, przedstawiające znaki zodjakalne, niżej zaś napis „Addidit antiquo virtus nova lumina caelo.“ Napis ten sprawił nam nieco kłopotu, jako że na wy-

cieczce nie myśli się o łacinie. Na szczęście ksiądz profesor wybawił nas z kłopotu, poczem z głębokiem już zrozumieniem odczytałyśmy tak pięknie z dziejami uniwersytetu Wileńskiego harmonizujące hasło wyryte nad główną bramą: „Ojczyzna, nauka, cnota." Po schodach t. zw. królewskich, będących równią pochyłą pozbawioną stopni, dostajemy się do auli, która nie jest ani tak wielka, ani tak wspaniała jak krakowska, sprawia jednak bardzo miłe wrażenie. Po opuszczeniu gmachów uniwersyteckich, „ogonek" nasz sunął przez ulicę zamkową, Wielką, Rynek ze starym Ratuszem, by wreszcie z pewnem uczuciem lęku i grozy wejść na dziedziniec klasztoru pobazyljańskiego. Na środku wznosi się stara cerkiew. Wokoło szare, ponure mury. To dawne więzienie filaretów, miejsce najszlachetniejszych synów Litwy Kierujemy się do celi Konrada. Stajemy w skupieniu. Zda się, że słyszymy ciche szepty, szczęk ostróg i karabinu strażnika — moskala dźwięk pieśni Frejenda: „Nie dbam jaka spadnie kara," i płomienne słowa improwizacji Konrada.... Otrząsamy się z wrażenia. Stoimy na jasnym korytarzu, ozdobionym fotografjami Bułhaka. Wchodzimy do celi. Jakież rozczarowanie! Zamiast ponurych ścian więziennych i zakratowanych okien, obszerny jasny pokój o dość dużych oknach, na biało tynkowanych ścianach wiszą fotografje z miejsc rodzinnych Mickiewicza, z sufitu zwisa lampa elektryczna. Nastrój prysł każda oświadcza po koleji: „Zupełnie inaczej wyobrażałam sobie celę Konrada." I jedynie marmurowa tablica ze znamiennym napisem „Gustavus obiit, hic natus est Conradus", utwierdza nas w przekonaniu, że stoimy w celi w której więziony był Mickiewicz podczas procesu Filaretów.

W słoneczne południe krętemi ścieżkami wchodzimy na Górę Zamkową, na której szczycie wznoszą się ruiny zamku Witolda. W głębokiem skupieniu stajemy przed grobem powstańców 63 r. straconych na placu Łukiskim z rozkazu Murawiewa przed płytą nieznanego Żołnierza. Wyniosłe topole szumią „wieczny odpoczynek" gwar miasta nie dociera tu zupełnie. Po chwili wchodzimy na sam szczyt i tu piękno Wilna ukazuje się nam w całej pełni. U naszych stóp całe miasto zalane potokami światła: tu sieć krętych zaułków i uliczek, tam malowniczy jar Wileński i dolina Wilji, po której zwolna suną galary. W dali wieniec falistych wzgórz, a na wschodzie, na górze Trzykrzyskiej, wyraźnie od błękitego tła nieba odcinające się trzy białe krzyże, które z tego najwyższego wzniesienia, górują nad panoramą miasta jako symbol chrześcijańskiej Litwy, lub, jak twierdzi legenda, świadczą o miejscu męczeństwa pierwszych apostołów. Promienie słońca wyzłacają dachy domów i wieże kościołów; szcze-

gólnie lśnią złote kopuły cerkwi Romanowych. Rozpoznajemy już wyniosłą dzwonnicę Św. Jana, kościół Św. Michała fundowany przez Lwa Sapiehę, strzeliste wiezyczki kościoła Św. Anny, tego najpiękniejszego zabytku architektury wileńskiej. Gotycka ta świątynia, zbudowana z czerwonej cegły, zdobna w łuki, gzymsy, wieżyczki pełna załamań i zagięć, sprawia wrażenie misternej koronki. O tym to kościele powiedzieć miał Napoleon, że chęcią przeniósłby go na dłoni do Paryża. Obok poznajemy kościół Bernardynów, w którym tegoż ranka podziwiałyśmy prześliczne kryształowe sklepienia i pięknie rzeźbione jesionowe ołtarze, dalej kościół Misjonarzy, Św. Jerzego, Św. Katarzyny, a na Antokolu kościół Św. Piotra i Pawła, jeden z najwspanielszych zabytków barokowych w Europie. Świątynia ta, ufundowana została kosztem hetmana litewskiego Paca, jako podzięka za wyratowanie go z opresji. Wygląd zewnętrzny nie przedstawia się ciekawie, wnętrze natomiast oszałamia nas wprost bogactwem form i kompozycyj. Każda ściana, każdy najmniejszy zakątek pokryty jest pięknemi rzeźbami, a mimo to niema tu dwóch podobnych sobie. Wśród tego chaosu rzeźb nie wiedziałyśmy, w którą stronę patrzeć co oglądać. Pomimo ogromnej różnorodności motywów i kształtów całość przedstawia się nadzwyczaj harmonijnie. Zupełnie nie chce się nam wierzyć, by całe to wnętrze było dziełem rąk ludzkich. Od sklepienia zwiesza się wspaniały kryształowy pająk w kształcie łodzi. Jedyną rzeczą, która zdaje się nie należeć do całości, to skromny ołtarz główny; nie mógł być on wykończony z powodu śmierci fundatora.

Długo jeszcze spoglądamy z zachwytem na wspaniały widok rozciągający się przed nami. Wkońcu dano hasło powrotu. Powoli zstępuje z góry wśród złota jesiennych liści. Mijamy ogród t. zw. „cielętnik" (miejsce zabaw dzieci), gdzie niegdyś wznosił się dolny zamek królewski, zniszczony po trzecim rozbiorze przez Rosjan, pragnących za wszelką cenę zatrzeć ślady dawnej świetności Wilna. Przechodzimy przez główną arterję miasta—ulicę Mickiewicza i zatrzymujemy się na placu Łukieskim, miejscu strachem bohaterów o wolność. Tutaj to wznosi się kościół Św. Jakóba. Z poza jego filarów patrzał Sobolewski na odjazd kibitek, wywożących na Sybir młodzież Wileńską.

Wąskiemi, ubogiemi uliczkami udajemy się do świątyni mahometańskiej. Wśród dość rozległego cmentarzyka gdzieniegdzie widnieje kamień, zwrócony we wschodnią stronę, pokryty napisem tatarskim, rosyjskim, lub niekiedy polskim. Inne groby zrównane z ziemią i porosłe trawą. Meczet sprawia wrażenie skromnego drewnianego domku. Do wnętrza wprowadza nas Tatar z wystającemi

kośćmi policzkowemi i trochę skośnemi oczami. Poprawną polszczyzną lecz dziwnym akcentem, objaśnia nam, że kilkostopniowe wzniesienie, jedyny sprzęt znajdujący się w tym pustym pokoju, przeznączone jest dla muzeina, oraz że obrazy zawieszone na głównej ścianie—to modlitwy muzułmanów. (Dla nas każdy z tych obrazów przedstawiał jeden zawiły, kabalistyczny znak). Opowiedział nam również, że mahometanie używają przy modlitwie kulek nanizanych na sznurek (rodzaj naszego różańca) przyczem kulki oznaczają wyrazy, które należy powtórzyć kilka, lub nawet kilkanaście razy. Z chęcią byłybyśmy słuchały jeszcze tych ciekawych objaśnień, niestety rozkoszny nasz pobyt w Wilnie zbliżał się już ku końcowi.

O zmroku znalazłyśmy się na cmentarzu na Rossie. Cmentarz ten położony jest niezwykle malowniczo na dwóch wzgórzach. Wchodzimy. Panuje tu uroczysta cisza. Skierowujemy się na tzw. Górkę literacką, gdzie stoi skromny grobowiec Syrokomli. Potem zstępujemy ścieżkami w dół, to znowu wznosimy się do góry. Błądząc po cmentarzu dochodzimy do grobu Euzebjusza Słowackiego, ojca naszego wieszcza. Drzewa szumią cicho modlitwę za umarłych, gdzieniegdzie w dole lub w górze błyśnie wątłe światełko płonące na grobie. Cóż za prześliczny widok przedstawiać musi Rossa podczas Zaduszek kiedy całe wzgórze zda się płonąć od tysiąca światełek! Mijamy jeszcze grób Emmy z Jeleńskich Dmochowskiej organizatorki i opiekunki tajnych szkół polskich, która dłuższy czas spędziła w więzieniu. Wychodzimy milcząc wzruszone do głębi tak świętem miejscem, jak i pięknością natury. U wejścia znajdują się mogiły obrońców Wilna z 1919 i 1920 r.

Wieczór—krążymy wśród krętych, ciemnych zaułków tak charakterystycznych dla Wilna. — Zwiedzamy t. zw. „ghetto" tj. dzielnicę żydowską. Domy tu stare, ciasne i przeważnie ciemne. Od czasu do czasu w nikłem świetle latarni widzimy sklepiki tak małe, że zaledwie jedna osoba może się w nim poruszać. W wielu miejscach uliczki poprzecinane arkadami, łączącemi mury naprzeciwko siebie leżących domów. W powrotnej drodze wchodzimy na najpiękniejszy z zaułków zaułek Bernardyński. Z pośród ślepych murów i staroświeckich fasad wyłania się skromny jednopiętrowy dom. Podwórko małe, otoczone drewnianym ganeczkiem, a potem ciemna sionka. I oto jesteśmy w dawnem mieszkaniu Mickiewicza. Dwa ponure i zda się wilgotne pokoiki wzbudzają w nas uczucie głębokiego żalu, że tak ubogie mieszkanie zajmować musiał największy nasz poeta. Tak skończyłyśmy naszą wędrówkę po starym grodzie, który często bardzo przypominał nam swym charakterem nasz Kraków rodzinny. Żegnaj nam Wilno, dzielna placówko kresowa, która pomimo tylu burz i tylu nieszczęść pozostałaś zawsze naszą polską!

J. Kuchcińska VIII kl.

Nad Trockiem jeziorem.

Kilka gwałtownych wstrząśnień na bruku uliczki w Trokach i autobus przystaje, wysiadamy zadowolone, roześmiane i uradowane jak zresztą podczas całej naszej wycieczki.

Parę minut drogi wąską kamienistą ścieżką na szczyt „Góry Ofiarnej" i przed oczyma naszemi zjawia się popielato—srebrna płaszczyzna jeziora, otoczona wieńcem drzew, która już dotknęła ręka jesieni. Lekki wiatr i pochmurne niebo powodowały, że woda falowała niespokojnie i z cichym szumem zalewała nadbrzeżną ścieżkę. W dali na tle chmur, wyraźnie odbijała się ciemna plama wyspy z ruinami zamku. Chwilowe milczenie, spowodowane wrażeniem jakie wywarło na nas malownicze piękno tej okolicy, przerwane zostało wspólnym niemal okrzykiem: „Ach, jak tu ślicznie!"

A kiedy spostrzegłyśmy kilka różnobarwnych łódek, kołyszących się przy brzegu, i dowiedziałyśmy się, że będzie nam wolno popłynąć niemi aż do ruin zamku, radość nie miała granic. Co to było śmiechu przy wsiadaniu, kiedy łódka chwiała się, a kropelki wody pryskały na nasze twarze, co uciechy, gdy nareszcie wiosła uderzyły o fale i zaczęłyśmy odbijać od brzegu! Łodzie cicho mknęły wśród trzcin, pomału zbliżałyśmy się do wyspy i kontury zamku stawały się coraz wyraźniejsze. Pochodzi on, jak ostatnie badania wykazały. z XVI w. i był letnią rezydencją królewską. Baszty są pozostałością murów obronnych z XV w., a więc z czasów W. Ks. Witolda, który tu mieszkał. Kiedy stąpałam po kamieniach i zwalonych szczątkach budowli, mimowoli nasuwała mi się myśl, że kilkaset lat temu chodzili tu książęta, sławni wojownicy, brzmiały rogi myśliwskie i pobudki wojenne.—Teraz tu cisza i spokój jak w świątyni, ruiny milczą, z politowaniem i powagą patrząc na nas, ludzi XX wieku

A drzewa wokoło rosnące zdawały się szeptać: „idźcie nie przerywajcie im snu."

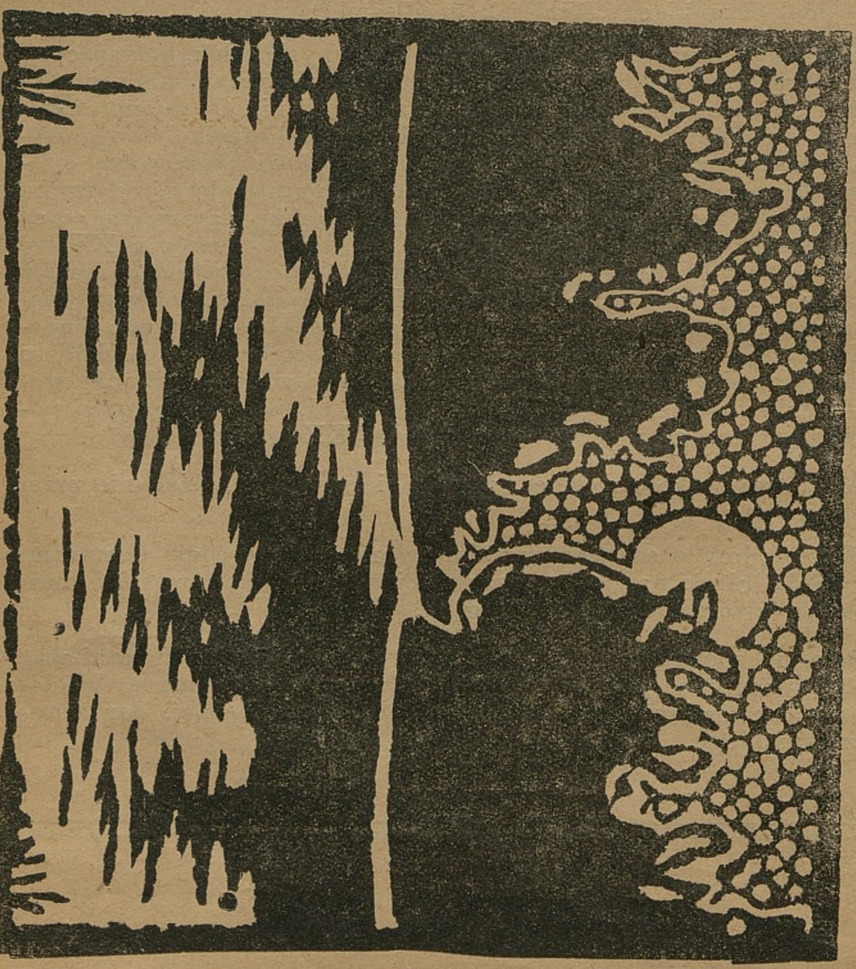
Wracałyśmy o szarym zmroku—słońce gasnące za chmurami rzucało słabe blaski na gładką teraz toń jeziora—zamek, wyspa i chatki rybaków zwolna znikały we mgle....

Pomimo spóźnionej pory poszłyśmy zwiedzić kościół parafialny czyli farę zbudowaną przez Witolda i bardzo czysto utrzymaną. W głównym ołtarzu znajduje się cudowny obraz Matki Boskiej, dar cesarza bizantyjskiego.

Ciemno już było zupełnie, gdy dotarłyśmy do świątyni Karaimów czyli kinessy. Miałyśmy szczęście oglądać ją w czasie nabożeństwa Karaimów. (Jest to sekta żydowska, pochodząca z Krymu, nieuznająca Talmudu i posługująca się w nabożeństwach językiem tatarskim: w Trokach osadzeni zostali przez W. ks. Witolda w XV w.) Kinessa dzieli się na dwie części; na właściwą świątynię, gdzie pod baldachimem, zwrócony twarzą do 10 przykazań, zasłoniętych czerwonym suknem, modli się ich kapłan, a wyznawcy, stojąc w ławkach głośno powtarzają jego słowa i na przedsionek, w którym znajdują się kobiety; wstęp bowiem do wnętrza jest im wzbroniony.

Późno wieczór wracałyśmy do Wilna. Miedziano—złota tarcza księżyca odbijała się w czarnej toni jeziora. Byłyśmy zmęczone, lecz pełne nowych wrażeń, które pozostaną z nami na długo, bardzo długo.

J. Stocka VIII kl.



J. Kuchcińska VIII.

Troki.

Płonie cudownie niebo na zachodzie..
Ciszą objęta ziemia wkrąg oddycha,
Wszystko co żyje w tę chwilę przycicha
Jakby martwiejąc o wieczornym chłodzie.

Słońce zachodząc twarz swą chowa w wodzie..
I gubiąc blaski wkoło rozsypane
Zwraca swe oko wielkie, zadumane
Tam, gdzie u brzegu długie drzemią łodzie.

Ruiny zamku na wyspie wśród trzciny
Wznoszą swe wieże samotne i smutne
liczą dawno minione godziny.
A zęby czasu niszczą je okrutne,
akby za jakieś karząc je przewiny.

J. Mieszkowska.

okolwiek będziesz w Nowogrodzkiej stronie."

W mglisty niedzielny poranek opuściłyśmy Wilno. Z okien wa- obserwowałyśmy typowe litewskie krajobrazy dla nas jeszcze ne. Mijałyśmy lasy, w których przeważały sosny i dęby, stroj- czerwono—złotą szatę jesieni, rozległe łąki, stawy zarosłe szu- i i drobne osiedla, a niekiedy pojedyncze chatki, zrzadka roz- na ogromnej przestrzeni. Dziwny smętek wieje z tej okolicy— że kraj to kresowy, narażony na częste zetknięcie się z wrogiem. tu wielkich budowli—w niektórych wioskach, wśród drewnia- chat krytych strzechą lub dranicami, wznosi się skromny, ró- drewniany kościółek lub cerkiewka, w innych wioskach, nieraz nastu chat zaledwie złożonych punktem środkowym jest stu- żórawiem. Szaro—sennie—Niekiedy monotonję drogi przerywa

wózek jednokonny z charakterystyczną „duchą“ (obręcz łączącą dyszle ponad głową konia), samotna sosna, lub wierzba ocieniająca krzyż przydrożny.

Lecz myliłby się bardzo ten ktoby sądził, że smętny nastrój okolicy wpłynął na nas przygnębiająco. O nie! Pełne radości i wesela dojechałyśmy do Nowojelni, a stąd—wspaniałym wehikułem, wypełnionym po brzegi, pod opiekuńczemi skrzydłami p. Wasilkowskiej i ks. profesora, dojechałyśmy w bajecznych humorach do sławnego Nowogródka, tak drogiego sercu każdego Polaka. Czekając na drugą partję, która z braku miejsca w autobusie, musiała jechać kolejką wąskotorową, urządziłyśmy sobie „dancing“ przy dźwiękach rozklekotanego fortepianu, którego klawisze wydawały piszczące i fałszywe tony. Cudownym dźwiękom fortepianu wtórował chór „rewellersów“, wyjąc z tupetem i radością najnowsze przeboje sezonu.

Po sutym obiedzie, żądne wrażeń poszłyśmy zwiedzać Nowogródek, rodzinne miasto naszego wieszcza. Na niewielkim wzgórku wznosi się fara zbudowana przez ks. Witolda. W bocznej kaplicy znajduje się cudowny obraz Matki Boskiej nowogródzkiej, która opieką Swą ochrania „gród zamkowy z jego wiernym ludem.“ W tym to kościele odbył się ślub Jagiełły z piękną księżniczką Sońką i tu w dn. 12 lutego 1799 roku ochrzczony został Adam Mickiewicz.

Przeprawiwszy się przez wielkie błota, z trudem i mozołem zaczęłyśmy się wdrapywać po śliskich stokach góry na jej szczyt, aby ujrzeć stare ruiny zamku, zbudowanego przez księcia litewskiego Radziwiłła, a do świetności doprowadzonego przez Mendoga, który tu koronowany został na króla litewskiego i przez Witolda, stawiającego mężnie czoło najazdom krzyżackim Dziś sterczą tylko dumne ruiny, które w wieczornej godzinie opowiadają sobie dawne dzieje: O ks. Litaworże i o mężnej Grażynie, która była „niewiastą z wdzięków, a bohaterem z ducha“.

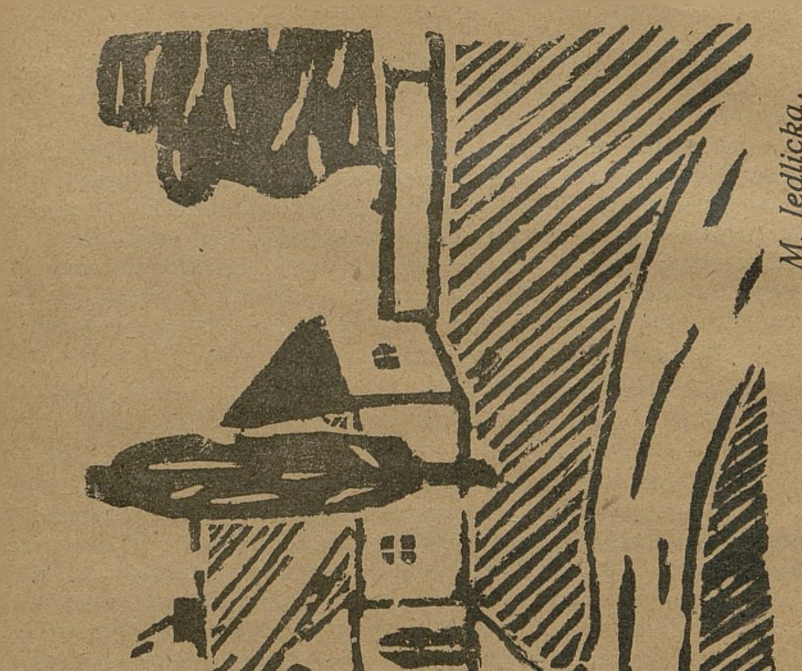
Nasyciwszy oczy pięknym widokiem panoramy Nowogródka i okolicy, wśród której wyróżnia się „Góra Mendoga“, będąca jak mówi legenda, mogiła tego króla, utworzyłyśmy malowniczą grupę u stóp potężnych ruin i „robiąc przyjemny wyraz twarzy“, zostałyśmy uwiecznione na kliszy nadwornego fotografa nowogródzkiego. Potem powróciłyśmy do miasteczka.

Na pierwszy rzut oka trudno uwierzyć, by Nowogródek był stolicą województwa. (Nowe gmachy powstają zdala od środka miasta)— Nie brak tu jednak śladów dawnnej świetności, a przedewszystkiem

pamiątek, które silnie przemawiają do naszej duszy. Środek rynku nowogródzkiego zajmują Sukiennice z podcieniami, naokoło wznoszą się parterowe lub piętrowe domki, do których wchodzi się po kilkunastu kamiennych schodkach, zakończonych małą terasą. Z pośród tych domków wyróżnia się dawny pałac Radziwiłłów, w którym obecnie mieści się starostwo. Obok wznosi się kościół Dominikanów; przy nim to znajdowała się szkoła, do której uczęszczał przyszły poeta. W jednej z wąskich uliczek oglądałyśmy dworek mickiewiczowski—dom, w którym mieszkali pp. Mickiewiczowie spłonął w czasie wielkiego pożaru Nowogródka, a na jego miejsce wybudowano nowy zupełnie podobny do pierwotnego.

Najważniejszą jednak chwilą naszej podróży była wyprawa do Świtezi. Droga prowadziła wśród pól, „wprawdzie już nie „malowanych zbożem rozmaitem“, ale szarzejących świeżo zoraną ziemią. Były tu jednak grusze samotne na miedzach, rzeczułka i mostek, stara cerkiew na wzgórzu i „łóz gęsty zarostek“. W końcu wjechałyśmy w ciemny bór Płużyn, grający tysiącem barw jesieni. I oto przed oczyma naszemi rozpostarł się malowniczy i imponujący widok. Przeszedłszy niewielki brzozowy lasek, znalazłyśmy się nad brzegiem Świtezi, w której spokojnych wodach przeglądały się, jak w tafli lustrzanej, otaczające ją lasy, przybrane w różnobarwną szatę jesieni. Stałyśmy nad brzegiem jeziora, oczarowane cudnym widokiem, którego nigdy w życiu nie zapomnimy. Nad Świtezią unosił się spokój i cisza tak wielka, że słyszałyśmy bicie własnych serc. Największe wrażenie wywarło na nas przeczytanie przez jedną z koleżanek znanego pięknego utworu Mickiewicza pt „Świteź“. Pod wpływem tej ballady, wpatrując się w srebrną toń jeziora, oczyma duszy widziałyśmy wynurzająca się z głębin Świteziankę. Idąc brzegiem jeziora przez rezerwat leśny, napawałyśmy nasze dusze pięknem przyrody, którą przedstawić tak, aby działała na wyobraźnię czytelnika, mógł tylko taki wieszcz jakim był Mickiewicz.

W drodze powrotnej widziałyśmy, niestety tylko zdaleka, białe mury dworu w Czombrowie i ocieniające go wyniosłe topole. Ten to dwór położony „na niewielkim pagórku nad brzegiem ruczaju“ wykazuje wiele podobieństw z Soplicowem w „Panu Tadeuszu“.



Zwróciłyśmy też uwagę na krzyż przydrożny, obwieszony kilkoma białemi fartuszkami. Jest bowiem stary zwyczaj na Litwie: oto wieśniaczki zamiast pomników i napisów na grobach, wieszają na krzyżach zapaski przez siebie haftowane, dla zaznaczenia do kogo dany grób należy.

Ciemną nocą wracałyśmy z Nowogródka do Nowojelni. I chociaż z wielkim żalem opuszczałyśmy kraj lat dziecinnych największego naszego wieszcza, to jednak ze śpiewem i uśmiechem na ustach wyruszyłyśmy w dalszą drogę, której celem było drugie cudo przyrody —puszcza białowieska.

J. Kramarzyńska, J. Piasecka i J. Skwarczyńska kl. VII.

Puszcza.

Szły bogi i w proch padały
Czas idzie i zmieniają się wiary
Ona trwa wieczna...
Nad wszystko wyniesiona,
Niepokonana niczem i nigdy,
Tak jak one pierwotna
Dzika potęga natury!

...Znalazłyśmy się w puszczy. Przyjęła nas w przepysznej swej, królewskiej szacie jesieni, w całem bogactwie barw różnych odcieni zieloności, złota i czerwieni; ale jaskrawa ich żywość była złagodzona, jakby przytłumiona, bo chmurny, bezsłoneczny dzień otulił wszystko mglistym welonem, a kształty drzew i krzewów rysowały się niewyraźnie, niby zanurzone w srebrnej topieli.

Las był jakby pogrążony w cichej zadumie, milczący i tajemniczy. Przedstawiał się przecież majestatycznie, imponująco w niezmiernem bogactwie i rozmaitości kolorów i kształtów.

Rosną tu swobodnie i bujnie niemal wszystkie gatunki drzew ojczystych; strzelają śmiało ku górze prostemi pniami smigłe świerki, jodły i sosny—wonne i pełne blasku łzy bursztynowe spływają po ich korze, — szeroko rozpościerają się grubemi pogiętemi konarami dęby i buki, wysoko wznoszą swe gałęzie wiązy i klony; nie brak tu i wysmukłej topoli, ani ulubionego drzewa naszych przodków — lipy, nawet poczciwej wierzby, gdzieniegdzie jaśnieje niepokalaną bielą kory brzoza o misternych, lśniących listeczkach.

Wysoko w górze pnie drzew podpierają strop leśny niby lekkie a silne kolumny; u szczytu potężne konary i wątlejsze gałęzie wiążą

się gęstym splotem, tworząc sklepienie, przez które światło dzienne przesącza się tak skąpo, że głąb boru grąży się w pomroce pół-zmierzchu U stóp leśnych olbrzymów rosną bujnie krzewy w zbitych gąszczach: jeżyny, maliny, głóg i leszczyna, — rozpościerają swe powiewne wachlarze paprocie; aksamitne darnie mchu, połyskliwe runo borówek, trawy i zioła rozliczne, tłumną gęstwiną cisną się do ziemi. Przeczyste powietrze, przesycone mocną, słodką i rzeźwą wonią żywicy, igieł i liści, tchnie zdrowiem.

W miarę pogrążania się w puszczę obejmuje nas, otacza przedwieczna knieja, jakby świątynią przyrody. Ukazuje się oczom naszym niby jakieś uroczyste i przepotężne a pełne cudownego powabu misterjum życia, nieprzebranym płynącego potokiem Oto natura wiecznie młoda, świeża, występuje przed nami w całej swej mocy i uroku, bujności i sile niespożytej.

Postępujemy w milczeniu, skupione i zamyślone. Cisza. Nic nie mąci spokoju Wywołuję w wyobraźni obraz puszczy, gdy grzmiąca burza zaryczy nad wyniosłemi wierzchołkami jej drzew, gdy rozszaleją się huragany, a ogniem błyskawic zajmie się niebo. Jakto wówczas miota się, pasuje i szarpie w gwałtownych objęciach wichru puszcza! Ciężkie, czarne chmury z hukiem gromów przewalają się po niebie, ulewa potokami spływa na rozkołysany las. Wśród głuchego szumu i huku walących się od uderzeń piorunów drzew szaleje ślepa, niszcząca potęga żywiołów. Jak groźnie a wspaniale przedstawia się wtedy puszcza!

A jak znowu inaczej zupełnie musi tu być w pogodny dzień letni, kiedy las ożywiony rzeźwym wiatru powiewem, rozbrzmiewać poczyna głębokiemi tonami jakby pieśni, rozlewnym szumem śpiewając niby dumy o przeszłości. Wsłuchajmy się w jego szum — niech nam opowiada o owych starych minionych czasach, kiedy to puszcza była jeszcze niezmierna i nieprzebyta. Olbrzymie jej, nietykane siekierą, odwieczne drzewa, padały tylko ze starości lub burzy, zalegając głuche ustronia ogromnemi stosami pni obalonych i potrzaskanych gałęzi, tworząc niedostępne, do dziś nieznane ludziom głusze, pełne zdradzieckich moczarów i trzęsawisk.

W gąszczach leśnych przeróżne zwierzęta miały swe legowiska: tu żyły łosie o rozpłaszczonych gałęzisto rogach, wspaniałe jelenie, srogie dziki. Po drzewach czaiły się rysie, czatując na zdobycz, świecąc w ciemności żółtemi ognikami ślepiów. Królowaniem w puszczy dzieliły się niedźwiedzie z żubrami, które, równie silne, staczały z sobą

niekiedy straszliwe, śmiertelne zapasy. Lisy, kuny i tchórze trwogą napełniały leśne ptactwo, którego wielka była mnogość: cietrzewie, głuszce i jarząbki kryły się pośród gałęzi, po wodach brodziły czaple, pływały kaczki i bekasy. Jastrzębie i krogulce wiodły żywot rozbójniczy. Nawet orły miały tu swą siedzibę. Nocą żerowały sowy i puchacze, pohukując ponuremi głosy, rozlegało się przeraźliwe wycie wilków, przemykały się cicho płochliwe sarny. Nad rzekami wznosiły swe przedziwne domki zmyślne bobry.

W owych odległych czasach ludzie mieszkali tylko po krajach rozległej puszczy: rąbali i spławiali drzewo albo wyrabiali potaż i smołę, z czego dochód szedł do szkatuły naszych królów.

W głąb puszczy monarchowie nasi zapuszczali się nieraz ze swoim dworem na łowy. Tu król Jagiełło z wielkim księciem Witołdem urządzili wielkie polowanie przed wyprawą na Krzyżaków, by zaopatrzyć wojsko w mięso, które nasolone w beczkach, przez Narew i Wisłę do Płocka spławiali. Tu w lat kilkanaście potem obaj wymienieni władcy schronili się z rodzinami swemi, gdy zgubny mór w Polsce i Litwie grasował.

Tu później zamiłowany myśliwy, Stefan Batory, łowy królewskie odprawiał, a najwspanialsze odbywały się za Sasów.

W puszczy tej za najazdu Szwedów i podczas zalewu Ojczyzny przez nieprzyjaciół znajdowała bezpieczne schronienie ludność okoliczna.

Różne sprawy i różnych ludzi pamięta stara puszcza. Przemijały wieki, zmieniały się epoki w dziejach ludzkości, naród nasz w zmiennych kolejach losu przeżywał dni triumfu i klęski, wesela i rozpaczy, a ona zawsze trwała niezmienna w wiecznie odradzającym się powabie młodości i tężyzny.

Przeniosłam się myślą w te zamierzchłe czasy, kiedy jeszcze pustka tu była bezludna, w czasy panowania natury w całej jej dzikiej, pierwotnej krasie. Świat roślin i zwierząt występował wówczas w całej swej olbrzymiej potędze, siły przyrody ujawniały się w groźnem pięknie. Pośród puszczy roiły się różne stwory dziś zaginione. W głębi jej rozlegały się ryki i wycia drapieżców. Ziemia drżała pod ciężkiem stąpaniem mieszkańców boru, gdy pędziły, przedzierając się przez splątaną gęstwinę przebogatej wegetacji. Byłam pod urokiem puszczy. W oczarowanej jej pięknem wyobraźni snuły się przedziwne obrazy,

przejmując duszę zachwytem nad niezgłębionemi tajnikami przyrodzenia Myśl o nieobjętej, niedoścignionej wszechmocności Boga przejęła mnie pokornem uwielbieniem.

Pozostanie nam na zawsze pamięć niezwykłych wrażeń i głębokiego wzruszenia jakiego doznałyśmy. Wycisnęły one w naszych sercach niezatarte piętno.

M. Czubryńska VIII. kl.

Żubry.

(Według „Przyrody i Techniki").

W ostatnich stuleciach niektóre gatunki zwierząt znalazły się na wymarciu. Do nich należą żubry, które w dawnych czasach zamieszkiwały całą środkową Europę i część Azji W XVIII. w. żyły jeszczcze w Prusach Wschodnich, a już w 1855 został tam podobno zabity ostatni okaz. Dziś w Polsce jest tylko kilka okazów w ogrodach zoologicznych Poznania i Warszawy, oraz w rezerwacie Puszczy Białowieskiej. W małej ilości żyją jeszcze żubry w stanie dzikim na Kaukazie.

Dawniej w Polsce żubr był pod opieką królewską i hodowany był w zwierzyńcach pod Warszawą, w Ostrołęce i w Zamościu. Skoro w XVIII w. zaraza zniszczyła większość żubrów w Europie, zwierz ten stał się rzadkim okazem i służył jako cenny podarunek.

Żubr bardzo się różni swoim wyglądem od innych zwierząt tego typu. Rogi ma krótkie, osadzone na przodzie czaszki, czoło tak szerokie, że, jak opisuje ambasador austrjacki w Polsce w XVI. w., trzech tęgich ludzi mogło siąść na nim koło siebie. Szyję, kark i głowę jego pokrywa długa grzywa. Ubarwienie całego ciała jest brunatno-płowe, tylko broda, boki głowy i koniec ogona czarniawe. Długość ciała dochodzi do $3^1/_2$ m., wysokość do 1 m. 80 cm.

Żubry żyją gromadnie i tylko stare byki prowadzą życie samotne. Żywią się trawą t. zw. żubrówką, liśćmi, pączkami i pędami drzew. Najbardziej lubią jesion. Koniecznym warunkiem ich egzystencji jest świeża woda. Ruchy żubrów są pewne i szybkie, pomimo, że zdają się być niezgrabnemi. Pływają bardzo dobrze, a powonienie mają

silnie rozwinięte. Z wiekiem stają się dziksze i łatwo wpadają w złość. (Jak nam w puszczy opowiadano, żubr, niezadowolony z widoku obcego człowieka, jednem uperzeniem kopyta wyrwał kilkometrowe drzewo i pień jego rozbił na miazgę). Przeciętny wiek żubra wynosi trzydzieści do pięćdziesięciu lat.

Żubry białowieskie służyły dla królewskich polowań. August III. urządził jedno z najświetniejszych w roku 1752 i sama królowa zabiła wtenczas 20 sztuk. Cesarz rosyjski obiecał przesłać królowej Wiktorji dwa żywe żubry. Osiemdziesięciu strzelców i 300 naganiaczy otoczyło stado żubrów. Gdy spuszczono psy, stado przeszło spokojnie przez kordon, nie zważając na krzyki i strzały. Udało się tylko schwycić kilka młodych cieląt. Jedno z nich, zaledwie roczne, przewróciło 8 ludzi i uciekło. Inne przyzwyczaiły się szybko do życia z bydłem domowem.

Żubry żyją w niewoli dobrze—rzadko jednak dadzą się oswoić zupełnie.

E. Zdebska kl. III.

Złote myśli.

Zasiewajcie miłość Ojczyzny i ducha poświęcenia się, a bądźcie pewni, iż wyrośnie Rzeczpospolita wielka i piękna.

Człowiek tylko w Ojczyźnie może być wesołym, bo tylko tam lada rzecz uszczęśliwi.

Aby nabyć i używać wielkiego prawa, potrzeba pierwiej spełnić wielką powinność.

Adam Mickiewicz.

Nasza prastara dzielnica kresowa.

Dziś kiedy już tyle, tyle dni upłynęło od naszego powrotu z Wileńszczyzny, wspominam chwile tam spędzone z prawdziwem rozrzewnieniem i wewnętrzną radością. A złożyło się na to dużo. Wilno, wraz ze swemi pełnemi wyrazu krętemi zaułkami, stare bruki słabo oświetlone blaskiem latarń, kościoły tonące w półmroku, a najwięcej ta dobrotliwa, pełna przebaczenia twarz Matki Boskiej Ostrobramskiej z łagodnością spoglądająca na swoje dzieci.

Miasto to przesycone jest prawdziwie polską atmosferą ubiegłych wieków, odczuwa się wyraźnie ich nastrój i dostojność. Wilno wywiera na każdego prawie turystę prawdziwy urok, pozostawiając po sobie niezatarte wspomnienie miasta o wyjątkowo nastrojowym wyrazie, do czego przyczynia się w wielkiej mierze jego malownicze położenie. I dlatego to z głębokiem żalem, wprost ze ściśniętem sercem opuszczałyśmy Wilno, bo ono szczególnie głęboko wryło się w nasze dusze, jako że tu najdłużej przebywałyśmy i mogłyśmy wniknąć w ducha tego grodu. Widziałyśmy wprawdzie i inne miasta na Litwie, ale żadne nie mogło wywrzeć takiego wrażenia jak Wilno, — czemu nie należy się dziwić, bo przecież ono koncentruje w sobie całe życie kresowe.

Spotykamy tu mięszaninę różnych typów. Patrząc i rozmawiając, można wyrobić sobie choć trochę pojęcie o życiu tych ludzi i ich sposobie myślenia. Wiejska ludność tutejsza jest niezamożna ze względu na niski poziom rolnictwa i ogromne zniszczenie z czasów wojny z którego Wileńszczyzna dźwiga się pomału. Ludność poza rolnictwem zajmuje się także przemysłem jak wyrobem narzędzi rybackich, bednarstwem, koszykarstwem; wysoko jest tu rozwinięta sztuka ludowa, a głównie ceramika i tkactwo, których wytwory były przedmiotem żywego zainteresowania się z naszej strony.

Muszę tu również wspomnieć o mieszkańcach Wileńszczyzny, odnoszących się do nas z całą serdecznością, z gościnnością, — o tych dobrych sercach, pełnych prostoty, prawych charakterach, o tych lu-

dziach którzy wywarli na nas wrażenie przedewszystkiem nieskażonym duchem polskim i swoją bardzo poprawną, o niesłychanie melodyjnym śpiewnym akcencie mową polską. Zwracali się oni do nas z zapytaniem skąd przyjechałyśmy?—i jak nam się tu podoba?—i z naiwnością twierdzili, że chyba u nas nie jest tak pięknie, jak tu, u nich. Z chęcią służyli nam swemi informacjami, dopytywali się czy to lub owo widziałyśmy, zawsze gotowi na usługi. Proszono nas często o śpiewanie naszych pieśni „krakowiaków“, co chętnie czyniłyśmy, a chcąc im sprawić przyjemność śpiewałyśmy o Wilji, o Niemnie w czem nam z radością pomagali.

I tak w ciągu tych kilku dni stałyśmy się „sławne“ bo maszerując po kocich łebkach słyszałyśmy tu i ówdzie objaśnienia: „to wycieczka aż z Krakowa!? I właśnie dzięki temu miłemu przyjęciu ze strony ludności, Wileńszczyzna tak miłe pozostawiła nam wpomnienia.

Z tych krótkich rozmów poznałyśmy, że mieszkańcy ogromnie są dumni z tego co posiadają i co zdobyli pracą pokoleń. Sądzę jednak, że mają być z czego dumni, bo Wilno było przecież z początkiem XIX. w. ośrodkiem kultury i odrodzenia umysłowego narodu, czem jest do dziś dnia dla wschodnich rubieży Rzeczypospolitej.

Stąd mieliśmy wielu bohaterów walk o niepodległość i działaczy państwowych. A ludność tutejsza kiedy zaszła potrzeba, potrafiła stanąć dzielnie do walki z wrogiem o niepodległość i zaznaczyć swą przynależność do Macierzy.

Opuściłyśmy Wileńszczyznę. Pożegnałyśmy Tę „co w Ostrej świeci Bramie“, plac Łukiski, zroszony krwią męczenników za wolność, szare mury Bazyljanów i cichy cmentarz na Rossie, gdzie spoczywa „Lirnik wioskowy“—Władysław Syrokomla. I dziś zda się nam, że do nas to zwrócone są Jego słowa:

„I tyś zwiedził tamte strony,
Gdzie ja byłem w dobry czas;
I tyś wrócił zachwycony —
Więc wspomnienie łączy nas.“

Tak — z wycieczki na Wileńszczyznę wróciłyśmy zachwycone. Pozostawiła nam ona niczem i nigdy niezatarte wspomnienie.

F. Pawłowska.

Wspomnienia z wakacyj.

1. Compiègne.

Po otrzymaniu świadectwa maturycznego byłam oszołomiona tak moją „dojrzałością“ jak i dziwną pustką, jaką odczuwa każdy zresztą człowiek, zakończywszy dział pracy, która absorbowała go przez dłuższy okres życia. Mimo radości jaką sprawiał mi papier świadczący o ukończeniu szkoły, coś jak smutek i tęskonota za ławą szkolną—za środowiskiem, gdzie tyle lat przeżyłam, opanowały moją duszę. To też z pewną ulgą dowiedziałam się, że obiecana moja podróż do Francji przybrała realne kształty. Wyjadę w świat!—Otoczą mnie nowe wrażenia, nowi ludzie, zobaczę Paryż — to ognisko kultury, sztuki i... mody!

Paryż — to marzenie każdej z nas w ciągu całego gimnazjum. A jednak nie był on dla mnie tem, czem go sobie przedstawiałam. Znacznie więcej—a równocześnie znacznie mniejszą niespodzianką. Zbyt wiele wiedziałam o tem mieście, zbyt dokładnie studjowałyśmy w szkole każdy jego zabytek, by oglądanie tej „stolicy świata“ było dla mnie czemś nowem. Jednakże, piękno prawdziwe i trwałe zawsze porywa; porwało i mnie, ale zwiedzanie tak wielkiego miasta pozostawiło oprócz natłoku wrażeń pięknych, także ogromne znużenie. Mieszkanka cichego i spokojnego Krakowa byłam oszołomiona, ogłuszona, zagubiona poprostu w tem szaleństwie ruchu, barw, powodzi świateł, reklam i dźwięków jakie przedstawia stolica Francji. Paryż jest piękny i wielki, ale zbyt nużące w nim życie i zbyt kosztowne, tem więcej, że na każdym kroku coś nęci chęcią zwiedżenia zakupu lub rozrywki. To też z pewnym uczuciem ulgi opuściłam po paru dniach stolicę, aby zamieszkać w Compiegne, ślicznym zakątku Francji, położonym na pn. wsch. od Paryża.

Być może, że miesiące letnie ubrały Compiegne w nadzwyczajne szaty, być może, ze kontrastem ciszy po olbrzymiem mieście więcej przemawiały do mej skromnej osoby—ale zdało mi się to miasteczko z nalotem prastarej patyny, czemś niesłychanie pięknem, czemś żnanem i prawie swojskiem, przypominającem dzięki swoim zabytkom nasz starodawny Kraków.

Compiègne położone na brzegu Oise, dopływu Sekwanny, wyglądać musi z lotu ptaka, jak kamienne gniazdo wśród zieleni, całe bowiem miasto otoczone jest lasami które ciągną się b. daleko. Tak więc przyroda wraz z genjuszem artystów wysiliła się, by stworzyć prawdziwie piękne dzieło.

Najważniejszym zabytkiem Compiègne jest majestatyczny kompleks pałacu i jego ogrodów. Pałac, ostatnio siedziba Napoleona I., zbudowany w większej części za Ludwika XV., wykończony został i upiększony przez „Boga wojny", to też z potężną architekturą pałacu łączy się lekkość i wdzięk kolumnady w stylu cesarstwa. W pałacu tym odbyły się uroczystości weselne Ludwika XVI. i Marji Antoniny, tu również poślubił Napoleon Marję Ludwikę i dla niej kazał wyciąć nieskończenie długą aleję, łączącą się w perspektywie z horyzontem. Olbrzymie parki, ze swą ciszą i powagą, są dalszym ciągiem lasów otaczających Compiègne, tylko, że wśród tego bogactwa pierwotnego piękna różnobarwne kwietne wirydaże walczą o pierwszeństwo z białemi marmurami posągów, zdobiących te prawdziwe „ogrody Aladyna".

Przez kilka dni poiłam się wrażeniami całości pałacu, jego wnętrza i pamiątek po Napoleonie, zachowanych z pietyzmem. Nieraz zdawało mi się, że lada chwila zjawi się on sam w trójgraniastym kapeluszu, by groźnym gestem wyprosić intruza.

Niemniej silne odniosłam wrażenie zwiedzając starożytny rynek, na którym widnieje okazały pomnik Joanny d'Arc. Tutaj wszak ta bohaterska dziewica wzięta była do niewoli przez Anglików i tu pamięć Jej żyje ciągle w legendach ludności.

Prawdziwą perłą jest renesansowa budowla z czasów Ludwika XII, utkana jakby z koronek w kamieniu—ratusz Compiègne. Na fasadzie starej wieżycy zachowany jest starożytny zegar, którego ruchome postacie oznajmiają co godzinę, że czas upływa—i nie powraca...

Równie sławne i wspaniałe są kościoły św. Antoniego i św. Jakóba pochodzące z XII. i XIII. w. Czysty ich styl gotycki lekkością

łuków i strzelistością smukłych wież, bogactwem rzeźby w kamieniu mówi o wzniosłem natchnieniu ich twórców i ofiarności wiernych.

Starożytne śródmieście, otacza pierścień zupełnie nowożytnych, zachowanych jednak w stylu malowniczych willi, które zamieszkuje przeważnie współczesna arystokracja francuska.

Nakoniec oglądałam poza miastem zakłady rolnicze, mieszczące wzorowe szkoły i gospodarstwa, gdzie jak słyszałam, praktykują często polskie studentki.

Tyle o Compiègne—chociaż możnaby jeszcze dużo opowiadać; lecz gdy będziecie kochane Czytelniczki zwiedzały Paryż, nie omieszkajcie wstąpić do Compiègne, a dopiszecie może coś więcej.

A jednak pomimo uroku Compiègne, mimo całego piękna porywającego Paryża—zdecydowałam się powrócić do kochanego Krakowa i tutaj dalej prowadzić pracę i naukę. Tam czułam, że tęsknota za krajem, a głównie za Krakowem zbyt by mi dokuczała, zaś wszelkie atrakcje, które zagłuszyłyby nostalgję — nie sprzyjałyby nauce, a ja pracować chcę i muszę.

H. Tryth'ówna

2. Wiejski krajobraz jesienny.

Jesienny poranek. Gęste mgły otulają ziemię, niby nieprzeniknioną zasłoną. Pola i łąki toną jakby w srebrzystej topieli. Po niebie przeciągają chmury, przeganiane wiatrem, który to zrywa się w gwałtownych podmuchach, to znowu uspokaja się, przycicha. Chwilami niebo wyjaśnia się, ukazuje się słońce. Świeci ono i grzeje, ale blask jego jakby przyćmiony, a ciepło łagodne nie ma w sobie nic z piekącego gorąca skwarnych dni lata. Przyroda pogrążona jakby w jakiemś smętnem zadumaniu. Ciche ukojenie spływa na duszę. Cudowne, życiodajne słońce dokonało swego zadania. Ziemia wysilona, wydawszy plony odpoczywa. Słońce śle jej ostatni pożegnalny uśmiech, w którym łączy się słodycz miłości ze smutkiem rozstania.

Mgły opadają powoli. Odsłania się coraz szerszy widok na wioskę, leżącą przy gościńcu, na rozległe, opustoszałe łany na ugory różowe od wrzosów i dalekie lasy, na zrudziałe i pożółkłe zbocza gór na horyzoncie. Szemrze woda w rzece, płynąc spokojnie. Jest tak

przejrzysta, że widać ryby, sunące w głębi. Słońce przygrzewa trochę silniej. Pod wpływem ciepłego powiewu i promieni słonecznych ustępuje przejmujący chłód. Ciągną na południe długim kluczem żórawie. Od czasu do czasu słychać miarowe stukanie dzięcioła; to znowu zaskrzeczy sroka na gałęzi, albo przeciągnie stado wron, rozgłośnie kracząc. Słychać krzyk gromady wędrownych gęsi; od jeziora dolatuje wrzask dzikich kaczek. Wiatr szumi w szuwarach nadbrzeżnych, szeleści w suchej trawie, trąca zeschłe badyle.

Tu i ówdzie na polach widać rolników z pługami lub bronami ciągnionemi z wysiłkiem przez niewielkie konie. Na ziemniaczyskach szereg kopiących kobiet pochyla się miarowo. Inne wycinają na zagonach kapustę. Ówdzie układają na stosy żółtą marchew i połyskliwą cebulę. I w sadach panuje ożywiony ruch. Pod gałęźmi drzew, obficie obwieszonemi owocami, uwijają się ludzie z koszami. Zrywają czerwone jabłka, złociste gruszki, fioletowe śliwki i układają je podług gatunków. W ogródkach delikatne astry, wonna rezeda i okazałe georginje zachwycają cudnemi barwami i kształtem doskonałej piękności. Przed chatami rąbią drzewo i układają w stosy. Z pastwiska dolatuje ryk bydła i odgłos piosenki pastuszka. Dym z rozpalonego przezeń ogniska ciągnie się długą, siwą smugą aż pod las.

A las mieni się i płonie tysiącem barw miedzi, złota i szkarłatu w najróżniejszych odcieniach. Patrząc nań ma się wrażenie, że przywdział tę królewską, przepyszną szatę na pożegnanie lata. Ale każdy silniejszy podmuch wiatru zrywa całe garście liści, ogałacając wyniosłe korony drzew; rzuca je na ziemię. Spadając z suchym szelestem, ścielą się jak wspaniały kobierzec jesieni. Cała droga usłana niemi; pełno ich pod drzewami, wszędzie....

A nad wszystkiem unosi się wiotka przędza pajęczych nitek— babie lato. Czepia się pożółkłych ściernik, zawiesza się na gałązkach drzew. Rozdarte przez powiew wiatru strzępki unoszą się w powietrzu, błyszczą i jaśnieją w słońcu. Cieniuchna pajęczynka, srebrzysta i świecąca, snuje się, unosi lekko, wszystko spowija, jak coś niesłychanie delikatnego i nieuchwytnego.

M. Czubryńska kl. VII kl.

Babie lato.

Szemrzą cichutko srebrne fale,
Dziwna muzyka w polach gra...
Uciekło Lato od tych pieśni
A w strunach jeno smętek drga...

A jasną nocą ponad łąki,
Nad kępy oszronionych drzew
Spłynęła Jesień zamyślona
I zasłuchana w dziwny śpiew.

Sypnęła tęcze koralowe,
Niby zaklęty jakiś dar...
Ubrała świat w welony mgławe
I w blady, księżycowy czar...

Uwiła długie białe nici
I z śmiechem je rzuciła w dal,
A potem nagle zapłakała,
Bo jej przędziwa było żal.

A nici lecą wiatrem gnane
Zeschniętych się czepiają traw...
I płyną dalej — hen — przed siebie...
Nad długie trzciny, ponad staw...

I ponad pola, ponad drzewa,
Aż gdzieś do ludzkich dążą chat,
Swą srebrną pędzą zasnuwając
Cały ogromny, senny świat.

J. Mieszkowska.

Kronika.

a) Krzyk! pisk! Weselcie się! Radujcie się! Jedziemy do Wilna!! Spora gromadka Kapliczanek wpada z werwą na peron. Pchają się do wagonów. Z jednego wyrzucają — trzeba się pchać do drugiego. Jest „trochę" ciasno, albowiem Urząd kolejowy zarezerwował jeden przedział na... 29 osób!! Ale od czego przemyślność. Czyhamy na każde opróżniające się miejsce, tak, że od ostatniej stacji przed Warszawą ma już każda z nas bodaj skrawek ławki. Znacznie już wcześniej ósmaczki zdobyły przedział z radjem. Mądre i sprytne te abiturjentki! A że w najwyższej klasie panuje w dużym stopniu altruizm każda słucha dźwięków na falach eteru na raty po 50 gr. Następuje składka Irka robi oko do syna Izraela, który ma aż na dwóch uszach słuchawki. Ten rozumie jej niemą prośbę, okazuje się „gentlemanem", użycza „klapek" i dyskretnie opuszcza przedział. Wszystkie słuchają Ordonki, a potem, czując, że nie samem tylko słowem żyć może człowiek, zabierają się do spożywania darów bożych. Mlamlai wciąż wydobywa niewyczerpane „Skarby Nibelungów" w postaci pięknych, rumianych bułek... Poczem dusze nasze, upokojone dźwiękami orkiestr uniosły się w zaświaty...

Warszawa!! Każda obrzuca krytycznem spojrzeniem swoją figurkę, lusterka, grzebyki w ruchu. W powietrzu unoszą się przedziwne wonie, wśród których dominuje zapach „Majoli", „Żaka" etc. Znowu przepychanie się przez drzwi, zostawiamy nasze niezliczone „bagaże" i wychodzimy na ulicę Marszałkowską. Jesteśmy odurzone. Ruch i reklamy koncentrują naszą uwagę. Co chwila zatrzymuje się taksówka, by przepuścić zagapione dziewczynki.

O jednastej wieczór znów bieg maratoński, meta — dworzec główny. Plecaki nasze z trudnością przepychają się przez drzwi...

Noc w wagonie. Część winduje się na „drugie" piętro, niektóre rozciągają się na podłodze na plecakach, inne znów w fantastycznych pozach umieszczają się na ławkach. Pewna wytrwała grupa urządza sobie dancing na obszernym końcu korytarza, kilka samotniczek wzdycha do księżyca. Po kiku godzinach Mlamlai chce zejsć z półki, gdzie

jest jej twardo. Prosi błaga ze łzami w oczach o ratunek, „kołysze nogami nad naszemi głowami". Wreszcie, wobec braku pomocy, zdobywa się na heroiczną odwagę, zeskakuje i nagle—pociąg staje. Wystraszone miny—czyżby ten skok uniemożliwił bieg pociągu? Przecież to nie „ułomek", ale 80 kg. zsunęło się, że to... stacja. Błogi spokój napełnia wystraszone serca. W miłem, liljowem świetle lampek zasypiamy na nowo, aby obudzić się już na litewskiej ziemi. O szarym świcie tłoczymy się do okien, by zobaczyć Niemen i malowniczo nad nim położone Grodno. Niedługo potem pociąg sapiąc wpada z hukiem na dworzec wileński.

Roześmiane twarze rozglądają się za autobusami. Grono profesorskie jest rozrywane, każda bowiem paczka uczenic chciałaby mieć wszystkich. Resztki snu zniknęły w autobusach, które mile „kołysały" się na kocich łebkach spadzistych ulic. Kwatera nasza znajdowała się w gmachu poklasztornym, miałyśmy dużą izbę, ozdobioną litewskiemi makatami i kwiatami, co wszystko razem bardzo miłe sprawiało wrażenie. Duszą naszego schroniska była niesłychanie miła p. Werońcia, która przez całe 48 godzin z anielską cierpliwością starała się zadowolnić nasze życzenia. Świetny apetyt nie opuszczał nas przy stole, podobno nawet w którejś klasie „chodzono w zakład kto więcej wysiecze"—bułek.

W Wilnie widziałyśmy dużo pięknych rzeczy, ale poważny nastrój nieraz przerywany był wybuchami śmiechu, którego przyczyną było najczęściej nieporozumienie. Wieczorną porą błądziłyśmy po zaułkach, odczytując nazwy ulic na tabliczkach, pozbawionych wyrazu „ulica". A więc Jatkowa, Gaona (?), Klaczki Juljana, co pośród gwaru i ruchu na ulicy zabrzmiało jako: „Płaczki Juljana"—i jak tu się nie śmiać!

Jazdy autobusami po mieście i podróż do Trok znosiłyśmy bardzo dobrze, z wyjątkiem Aśki, która omdlewała jakoby od zapachu benzyny, a jak nam się zdaje z nadmiaru wrażeń. Po jeziorze Trockiem płynęło pięć łódek, unosząc syreny krakowskie, które swym śpiewem zwabiły okolicznych rybaków... Ostatni wieczór w Wilnie spędziłyśmy na gratisowem przedstawieniu z udziałem doborowego ze-

społu „Kindchen“ Krasińskiej (Minna v. Tellheim) i Hedwige Kuchcińskiej.

Przybywamy do Nowogródka. W „Kasynie“ utalentowana Dzidka urządza koncert, poczem z apetytem zjadamy chłodnik i bigos litewski (czyż niebyłoby profanacją jeść coś innego na Nowogródzkiej ziemi!) i to bigos lepszy niż w „Panu Tadeuszu“, tylko że — bynajmniej nie jadłyśmy go „milczkiem“.

„Świteź“, tak cudnie opiewana przez Wieszcza, przyjęła nas ze spokojnem obliczem. Podróż zato zupełnie nie była spokojna. Naszej „paczce“ przypadł w udziale stary klekot (autobus), wyciągnięty prawdopodobnie z archiwum. Droga była bardzo urozmaicona. Po ulewnych deszczach pełna była wybojów i dziur, wypełnionych grząskiem i lepkiem błotem, w które autobus zanurzał się, aby wypłynąć za chwilę na niewielki wzgórek i z wielkim impetem zjeżdżał, chwiejąc się raz w prawo, raz w lewo, aby ponownie wpaść w błoto. W takt kołyszącego się i podskakującego autobusu i huraganu śmiechu, który towarzyszył każdej większej kałuży, obijamy swe boki o siebie, o ściany, a nawet uderzamy głowami o sufit autobusu, by nagle—„ugrząść na mieliźnie“. Musiałyśmy opuścić nasz wehikuł i wspólnemi siłami wypchnąć go z głębokich kolein. Możecie sobie wyobrazić, że podróżniczki z drugiego autobusu mocno nam tej przygody zazdrościły. Słuszną nagrodą za tyle trudów była wizyta w cukierni. Tam Czubra — wegeterjanka urządziła polowanie na ptysie, napoleony, babki.. bodaj to pogardzać mięsem.

Nie minęła nas również przygoda w drodze z Nowogródka. do Białowieży. Gderliwa Kucha staczała walkę słowną z jakiemiś strzelcami, którzy się chcieli gwałtem u nas zakwaterować. Biedna ta Kucha! co oni jej wtedy krwi napsuli. Do dziś dnia nie może przyjść do siebie. Dopiero Hajnówka, będąca niejako wrotami do puszczy, przyniosła uspokojenie. Przyjechałyśmy do stacji tej o godz. 2-giej w nocy, pociąg zaś do Białowieży odjeżdżał dopiero o 4½ rano. Część więc dziewczynek rzuciła się w objęcia Morfeusza, rozciągając się na ławkach, część zaś wyruszyła na spacer. Błądziłyśmy po łąkach

i po drogach, nad głowami szumiały nam wyniosłe sosny, wiatr przeganiał chmury, odsłaniając od czasu do czasu świetlaną tarczę księżyca. Zdala poszczekiwały wiejskie psy. Szeptem, by nie mącić ciszy nocy, opowiadałyśmy sobie nasze wrażenia, powtarzałyśmy rozmowy z naszymi przygodnymi towarzyszami podróży, od których dowiedziałyśmy się wiele o ciężkich przeżyciach ludności kresowej w czasie ostatniej wojny i o wysiłkach jakie czynią dla dźwignięcia z ruiny tej części kraju. Rozkoszny nasz spacer trwał aż do chwili, gdy niebo zaczęło szarzeć na wschodzie, w domkach kolejowych zabłysły światełka, a na podwórku zaskrzypiały żórawie...

W Białowieży każda z nas znalazła spokój i zadowolenie. Mogła obcować z naturą nieujarzmioną przez człowieka, lecz wolną, piękną..

Puszcza obejmuje przestrzeń ponad 1000 km². należy przeto do największych lasów Europy. Dzieli się na szereg leśnictw, których punktem środkowym jest wieś Białowieża. W pięknym parku, w którym rosną wszelakie okazy flory krajowej, wznosi się pałacyk myśliwski zbudowany przez cara Aleksandra III. a mieszczący piękne muzeum puszczańskie apartamenty p. Prezydenta Rzeczypospolitej, oraz szkołę leśną. W przyszłości ma tu stanąć instytut kultur leśnych i stacja doświadczalna. W malowniczem położeniu nad stawem, znajduje się drugi pałacyk wzniesiony przez cara Aleksandra II. w którym mieści się obecnie kasyno urzędnicze. W puszczy było nam tak dobrze, że nie chciałyśmy stamtąd wyjeżdżać. Niestety, wszystko co dobre, to krótko trwa.

Nastąpił odwrót do Warszawy, ostatni etap naszej wycieczki. Na samym wstępie stolica przyjęła nas komplementem: „Eleganckie granatowe panny". Zaraz po kolacji zasnęliśmy snem sprawiedliwych, który trwał tak długo, że nazajutrz zaledwie koło jednastej byłyśmy gotowe do wymarszu. Z tego to powodu zwiedzanie Warszawy odbywać się musiało w przyszpieszonem tempie. Kościoły, Stare miasto, Zamek, Łazienki, Zoo mijały jak w kalejdoskopie.

Wybiła godzina odjazdu do Krakowa. Miny nasze czegoś smutne, ostatniem spojrzeniem obrzucamy iluminowaną Warszawę. Figlarna

reklama. „Pluto“ mruga do nas jakby chciała powiedzieć: „Zobaczymy się jeszcze! Nie martwcie się!“ Odjechałyśmy z otuchą, że jeszcze raz pewno pojedziemy na szkolną wycieczkę, może w inne strony, gdyż tak jak nam było dobrze na tej ostatniej, nie może być lepiej nigdy, jedynie ze szkołą.

I. Krasińska VIII. kl.

Współtowarzyszki wycieczki.

b) W czwartek byłyśmy w menażerji. Pierwszem stworzeniem, które ujrzałam była papuga. Skrzeczała ona przeraźliwie i w powietrzu fikała koziołki. Nie upadła jednak na ziemię, bo była przyczepiona do drążka. Niektóre zwierzęta były zamknięte w klatkach, inne tylko przywiązane do słupka. W żelaznej klatce był biały niedźwiedź, któremu było gorąco i czarny, który miał pysk zamknięty na kłódkę (!!?) Lwy i tygrysy żarłocznie rozrywały mięso. Słonia było mi bardzo żal, bo miał wyrwane kły i tak żałośnie patrzał na nas, że mi się płakać chciało. W menażerji widziałam jeszcze w ciasnych klatkach zgrabne antylopy, szakale, straszne wilki, poważnego, dumnego puhacza i zwinne liski. Najbardziej podobały mi się małpki, które bawiły się wesoło, przeglądały się w lusterku i ciągnęły się za uszka. Gdy przechodziłam koło papug, jedna z nich, nie wiem dlaczego, powiedziała do mnie ze złością: Małpo!—Przy wejściu skusiła mnie koleżanka, żeby wrzucić pięć groszy do automatu. Myślałam, że coś wygram, ale niestety... Z menażerji wróciłyśmy do domu. Tej nocy śniło mi się, że mnie lew rozszarpuje.

Według sprawozdań klasy I.

Rozrywki.

I.

Pierwsze litery wyrazów siedmiozgłoskowych dadzą imię i nazwisko bohatera polskiego.

1) Kraj w Azji, 2) Obszar wód (ó), 3) imię żeńskie, 4) utwór literacki, 5) państwo w Europie zach. 6) uroczystość szkolna, 7) inaczej kolonista, 8) mieszkaniec środkowej Europy, 9) dawna nazwa atramentu, 10) miasto w Ameryce północnej, 11) owad, 12) małż jadalny, 13) roślina służąca do wyplatania koszyków, 14) Miasto w Hiszpanji, 15) Wyspa na morzu Śródziemnem, 16) mała izba.

Lilyjka III. kl.

II.

Jakie lenie żyją w lesie?
Jaka kora lata w powietrzu?
Jaki rak stoi na jednej nodze?

Józia II. kl.

III.

A	N	N	S	S	imię żeńskie
G	A	Z	Z	L	inaczej wiedzą
I	U	A	P	P	sprzęt domowy
K	K	R	A	F	ptak
A	A	A	A	A	stolica Czechosłowacji.

„Jakaś" IV. kl.

IV.

			a
		a	
	a		
a			

przemówienie

lekka mgła

środek opatrunkowy

mieszkaniec Azji

(Litery utworzą pionowo i poziomo te same wyrazy)

„Ja" kl. III.

Redakcja »Świtu« prosi o nadsyłanie artykułów, sprawozdań nowelek, zagadek i t. p., które będą mile przyjęte. Warunki: własna praca i staranna forma zewnętrzna.

Nakładem uczenic Gimnazjum im. H. Kaplińskiej w Krakowie.

Red. odpow. Jadwiga Brodowiczówna.

Drukarnia D. Fadena, Myślenice. — Telef. 20.